

## *II wojna światowa*

Wybuch II wojny światowej pokrzyżował wszelkie plany i marzenia. Do Krzemienia wojna dotarła już 8 września 1939 r. W tym dniu Janów Lubelski został doszczętnie zbombardowany przez lotnictwo niemieckie. Podobny los spotkał 13 września Frampol i ponownie Janów Lubelski. Jak podają historycy, zabudowa tych miast, wykonana na planie gwiazdy, służyła niemieckim lotnikom za poligon treningowy do zrzucania bomb. Same działania wojenne miały miejsce w Krzemieniu i okolicy dopiero 17 września 1939 r. Tego dnia do Janowa wkroczyli Niemcy. Natomiast 28 września dotarli w ten rejon oddziały sowieckie, które zgodnie z paktem Ribbentrop–Mołotow miały zająć całą Lubelszczyznę.

28 września w okolicy Krzemienia wycofująca się na południe grupa pułkownika Zieleniewskiego została zaatakowana przez Sowietów. Przewaga liczebna i w uzbrojeniu tych ostatnich była znaczna. Polski oddział został rozbity. Zginęło kilkunastu żołnierzy, w tym dwóch oficerów. Jeden z poruczników został ciężko ranny i przeniesiono go do domu stojącego na początku miejscowości. Mama pomagała go transportować. Oficer poprosił ją o przechowanie mapnika z dokumentami oraz mapą wojskową. Spełniła jego prośbę i ukryła mapnika, a następnie zakopała. Oficer został zastrzelony przez Sowietów. Wspomnienia o tym wydarzeniu wywoływały łzy w oczach mamy.

Rozbici polscy żołnierze porzucali lub zakopywali posiadane uzbrojenie. Mundury zmieniali na ubrania cywilne i włączali się do przemieszczających się uchodźców. U ojca mamy, Jana Rożka, jeden z dowódców polskich żołnierzy zdeponował trzy skrzynie z bronią. Ze starszym synem, Tadeuszem, zakopali je w pobliskim zagajniku sosnowym.

Już w 1940 r. zaczęła się tworzyć partyzantka. Oddziały leśne potrzebowały uzbrojenia, a informacje o pozostawionych we wrześniu 1939 r. egzemplarzach broni docierały do ich organizatorów. Krążyły opowiadania o stosowaniu brutalnej przemocy przez niektórych partyzantów w celu zmuszaniu do oddania im posiadanej broni. Ojca mamy w 1941 r. odwiedził jeden z dowódców lewicowej partyzantki Gwardii Ludowej, Andrzej

Flis, pseudonim „Maksim”, we wsi nazywany Jędrusiem. Zażądał wydania mu broni i zagroził represjami. Jan Rożek w pierwszej chwili odmówił, ale po radzie ze starszym synem, Tadeuszem, oddał temu partyzantowi jedną ze skrzyń z bronią. Dwie pozostałe skrzynie dziadek postanowił natomiast przeznaczyć dla partyzantów Narodowej Organizacji Wojskowej, powołanej przez Stronnictwo Narodowe. W tym celu nawiązał kontakt z dowódcą oddziału, „Ojcem Janem” (Franciszkiem Przysiężniakiem), i przekazał za pokwitowaniem dwie pozostałe skrzynie. Wówczas dowódca zwrócił się do dziadka, aby przygotował w obejściu schron – kryjówkę na bazę wypoczynkową dla partyzantów. Początkowo w tym celu Jan Rożek przystosował pomieszczenie w stodole, ale w okresie zimowym nie było ono dostatecznie ciepłe i łatwo było je wykryć. Lepszym miejscem na kryjówkę okazała się murowana obora. Pod nią wykopano pomieszczenie, które przykryto betonowym stropem. Wejście do niego prowadziło ze stodoły i było odpowiednio zamaskowane. W pomieszczeniu tym mogło przebywać do 20 partyzantów. Najczęściej stacjonującymi partyzantami był oddział NOW-AK „Ojca Jana”. Sam dowódca oddziału nocował w mieszkaniu u dziadka, gdzie również była stosowna skrytka.

„Ojciec Jan” miał dużą wiedzę ogólną i dobre maniere. Był przedwojennym zawodowym oficerem. Niektórzy twierdzili, że pochodzi ze szlachty kresowej. W rzeczywistości urodził się i wychował w powiecie Krasnostawskim. Był chętnie goszczony w domu dziadka.

Pewnego razu, gdy siedzieli wieczorem i rozmawiali, do mieszkania wszedł „Maksym” wraz z dwoma partyzantami. Wymierzył pistolet w „Ojca Jana” i zażądał od niego oddania posiadanej broni. „Ojciec Jan”, nie tracąc humoru, zażartował słowami: „Jędrus, masz zatkaną lufę!”. Na te słowa „Maksym” odwrócił do siebie pistolet w celu sprawdzenia wylotu lufy. Wówczas dowódca NOW-AK roześmiał się i skwitował: „Teraz mógłbym cię zastrzelić”. Oddał jednak swój pistolet „Maksymowi”, dodając, że nie dłużej jak za dwa tygodnie „Maksym” zwróci mu nie jeden, ale trzy pistolety. Tak też się tak stało. Dziadkowi nie było wiadomo, u kogo „Ojciec Jan” interweniował w sprawie zwrotu broni.

Należy zaznaczyć, że zarówno „Maksym”, jak i „Ojciec Jan”, mimo że reprezentowali dwa różne ugrupowania polityczne, po zakończeniu

wojny w latach pięćdziesiątych znaleźli się w więzieniu za działalność w czasie wojny. „Maksymowi” zarzucano udział w zamordowaniu kilkunastu osób pochodzenia żydowskiego. Natomiast „Ojcu Janowi” rozbił oddział NKWD. Paradoxy historii.

Gdy w schronie nie było partyzantów NOW-AK „Ojca Jana”, korzystali z niego partyzanci Gwardii Ludowej (GL, później Armia Ludowa – AL) wspomnianego „Maksyma”, szczególnie gdy rejon ten odwiedzany był przez dowódców brygad Armii Ludowej, pułkowników Korczyńskiego i Moczara. O pobycie w schronie u „Bośniaka” wspomina „Maksym” w książce *Kierunek Puszcza Solska*\* oraz Moczar w *Barwach walki*\*\*.

Pułkownik Korczyński tak opisuje pobyt u „Bośniaka” 29 listopada 1942 r.: „Za stodołami wędrujemy przez całą wieś. Walenty Mróz czeka nas u Rożka – «Bośniaka». W stajni. Stajnia, do której wchodzi się przez stodołę, obszerna, widna, czysta – o kilka klas przewyższa stojącą chałupę”.

Korzystanie ze schronu przez dwa oddziały partyzanckie o różnym politycznym zabarwieniu niosło zagrożenie denuncjacji, a tym samym śmiertelne zagrożenie dla ojca mojej mamy i jego najbliższych, tym bardziej że w niektórych oddziałach mogli być współpracownicy Gestapo. Na szczęście tak się nie stało.

## *Roboty przymusowe*

Powrócę do losów mamy po wybuchu wojny. Na wiosnę 1940 r. miała miejsce masowa branka na roboty przymusowe do Niemiec. Organizował ją urząd nazywany po niemiecku „Arbeitsamt”. Robotnicy przymusowi (*Zwangsarbeiter*) dzielili się na kategorie:

- jeńcy wojenni – *Militärinternierte*;
- cywilni robotnicy głównie z Polski – *Zivilarbeiter*;
- robotnicy ze wschodu ZSRR – *Ostarbeiter*.

---

\* Andrzej Flis, *Kierunek Puszcza Solska*, Warszawa 1970.

\*\* Mieczysław Moczar, *Barwy walki*, Warszawa 1962.

Roboty przymusowe miały na celu pozyskanie taniej siły roboczej i stanowiły metodę eksterminacji ludności z podbitych krajów. Z każdej rodziny do wyjazdu była typowana jedna osoba od 18. do 60. roku życia. Do końca 1939 r. wysłano z Polski 80 tys. robotników. Od połowy 1940 roku obowiązek pracy przymusowej obejmował młodzież od 14. roku życia.

Na roboty miał wyjechać ojczym mamy, Władysław Flis. Wówczas zaczął kombinować, jak załatwić, aby to nie on został zabrany. Udał się do sołtysa wioski z butelką wódki (sołtysem na początku wojny był Tomasz Flis, ale nie był on spokrewniony z ojczymem mamy). Na listę wyjeżdżających w lutym 1940 r. została wpisana moja mama, mimo że miała 15 lat i dopiero za 2 miesiące kończyła 16 lat.

Grupę osób z Krzemienia wyznaczoną przez sołtysa zawieziono podwodą do pociągu w Szastarce koło Kraśnika. Na stacji kolejowej mama została poddana wraz z innymi wyjeżdżającymi osobami przymusowemu odwszawianiu, co polegało na obcięciu włosów i kąpieli w prowizorycznej łaźni.

Moja mama opuszczała rodzinne strony ze smutkiem i ciężkim sercem. Zastanawiała się, czy jeszcze dane jej będzie zobaczyć rodzinną wieś. Została „Zwangsarbeitrem” – tak po niemiecku nazywani byli robotnicy przymusowi. Na ubraniu na prawej piersi miała naszyty żółty romb z wpisaną literą „P” koloru fioletowego, co znaczyło, że jest Polką.

Po przybyciu do Saksonii nastąpiło ponowne odwszawianie i mama została zgrupowana wraz z innymi robotnicami na „targu z niewolnikami”. Wybór robotnika przymusowego przez niemieckich bauerów polegał na sprawdzaniu budowy ogólnej, mięśni rąk, a szczególnie dłoni, które były wnikliwie oglądane. Spracowane ręce świadczyły o przyzwyczajeniu do ciężkiej pracy. Robotnice z takimi dłońmi szybko znajdowały chętnego bauera. Kobiety, których nie zaakceptował żaden z gospodarzy niemieckich, były wysyłane do pracy w fabrykach, gdzie praca trwała mniej godzin niż w gospodarstwach rolnych, ale racje żywnościowe były głodowe.

Mama trafiła do gospodarstwa położonego 7 kilometrów od miasta Halle nad rzeką Saale (pol. Soława) w wiosce Tornau. Po przybyciu do tej miejscowości została zarejestrowana w urzędzie policji. Poinformowano ją, że

## *Pobył w niewoli niemieckiej*

Już 7 października pułk maszerował w zwartym szyku na łąkę koło Sobieszyna.

Rankiem w tym dniu Niemcy oddzielili oficerów od szeregowych. Oficerowie pojechali do Dębłina samochodami, natomiast szeregowi piechoty ruszyli pieszo. Ułani poruszali się jeszcze konno, co potwierdził w rozmowie ze mną żyjący jeszcze ułan Wincenty Łupiński. Oficerom pozwolono zachować szable. Trafili do Twierdzy Dęblin położonej na skarpie nad brzegiem Wisły\*. Tam osadzeni zostali jeńcy wojenni. Z żołnierzami przez dwa dni przebywali oficerowie na czele z generałem Kleebergiem, który chętnie z nimi rozmawiał, podtrzymując ich na duchu. Podkreślał przy tym, iż Polska, mając takich dzielnych żołnierzy, nie zginie. Ten potomek szwedzkiego żołnierza okazał się gorącym patriotą. Zmarł w niewoli, w Twierdzy Konigstein 5 kwietnia 1941 roku. Również w niemieckim obozie jenieckim Murnau 25 kwietnia 1945 roku zmarł dowódca 10 Pułku Ułanów Litewskich, podpułkownik Kazimierz Busler.

Zadałem ojcu pytanie, dlaczego nie uciekł z niewoli. Uważał, że status jeńca wojennego, gwarantowany przez prawo wojenne, będzie bardziej odpowiedni niż uciekiniera. Rzeczywistość okazała się jednak zgodna z porzekadłem jeszcze z czasów rzymskich: „biada pokonanym!”. Żołnierze zostali zamknięci po kilkudziesięciu w małych salach, bez warunków sanitarnych. Część z nich próbowała ucieczki – wyskakiwali z okna do płynącej w dole Wisły. Wszyscy, którzy podjęli próbę ucieczki, zostali zastrzeleni w nurtach rzeki. Widok ten nasuwał pesymistyczną wizję życia w warunkach niewoli.

Około 10 października wyprowadzono ich z Dębłina. Przeszli most pontonowy na Wiśle. Następnie samochodami wywieziono ich do Radomia i osadzono w koszarach wojskowych. Stąd po dwóch dniach

---

\* Twierdza Dęblin – cytadela z fosami wybudowana po powstaniu listopadowym 1837 roku przez Rosjan. Na cześć Iwana Paszkiewicza Dęblin został wówczas nazwany Iwanogrodem. Mury były z czerwonej cegły o grubości od 3 do 6 metrów, przy których wybudowano dwupiętrowe kazamaty (cele).

wyruszyli już pieszo do Kielc, a następnie skierowano ich do Częstochowy. Piesza wędrówka zajęła ponad tydzień, niemal bez wyżywienia i zabezpieczenia sanitarnego. W czasie marszu miejscowa ludność próbowała im pomagać, przekazując jedzenie i picie, zdecydowana postawa niemieckich konwojentów nie pozwala jednak zbliżyć się do polskich jeńców. Szczególnym okrucieństwem charakteryzowali się żołnierze Wehrmachtu pochodzący ze Śląska. Wyładowywali swoją niechęć na głodnych, zmarzniętych i upokorzonych przez los jeńcach polskich.

W Częstochowie, gdy maszerowali główną aleją miasta, na poboczu licznie zgromadzili się mieszkańcy. Jeden ze stojących mężczyzn pociągnął ojca za rękę, wyciągając go z szeregu jeńców. Stojący tłum w większości stanowiły kobiety. Jeden z konwojentów zaobserwował próbę ucieczki i manewr się nie powiodł. Wystarczyło, by ojciec się schylił, a nawet przykucnął, i znalazłby się na wolności. Po wielu dniach tułaczki jego refleks wyraźnie osłabł i nie dane mu było wykorzystać nadarzającej się okazji. Niemiecki żołnierz podbiegł do ojca i zadając mu kilka ciosów kolbą karabinu w głowę, powalił na ziemię. Już nigdy więcej w czasie niewoli nie był tak blisko wolności. W Częstochowie jeńcy zostali zapędzeni do pociągu towarowego takiego, jakim przewożono zwierzęta. Wagony pozamykano na kłódki. W jednym wagonie tłoczono po pięćdziesięciu jeńców. Nie dostali jedzenia ani picia. Pociąg przez większą część drogi stał na bocznicach, co wydłużało katorgę. Podróż trwała trzy dni. Zostali wyładowani na stacji kolejowej Neuburxdorf i skierowani do obozu jenieckiego nazywanego stalagiem.

Ojciec przebywał w Stalagu IV B Mühlberg (Stammlager für Kriegsgefangene Mannschaften und Unteroffiziere), czyli w obozie jenieckim dla podoficerów i szeregowców. Rzymska IV wskazywała numer okręgu wojskowego, na którego terenie znajdował się obóz. Natomiast litera B oznaczała kolejność organizowania obozu. Stalag ten był jednym z największych obozów jenieckich w II wojnie światowej. Główny obóz znajdował się między wioskami Burxdorf i Neuburxdorf, 6 kilometrów na północny wschód od miasta Mühlberg w Saksoni, 50 kilometrów od Drezna. Obóz zajmował obszar 30 hektarów i został zorganizowany we wrześniu 1939 r. Jak podają źródła historyczne, pierwszymi mieszkańcami tego obozu było

17 000 polskich żołnierzy wziętych do niewoli. Z opowiadań ojca wiem, że z braku pomieszczeń przez pierwsze dwa miesiące jeńcy mieszkali pod gołym niebem. W grudniu 1939 roku ustawiono namioty podobne do cyrkowych. W jednym namiocie przebywało 1000 jeńców. Na początku 1940 roku większość osadzonych tam osób została przeniesiona do innych obozów. Prawdopodobnie obóz był przygotowywany dla innych jeńców, ponieważ w maju 1940 r. do tego stalagu przywiezieni zostali Francuzi. W 1941 przybyli Brytyjczycy, Australijczycy i Polacy wzięci do niewoli pod Tobrukiem. Następnie obóz wypełniali Rosjanie. W październiku 1944 trafiło kilka tysięcy powstańców warszawskich, natomiast w grudniu osadzono 7500 żołnierzy amerykańskich wziętych do niewoli w Ardenach. Spośród przetrzymywanych jeńców ponad 3000 zmarło na tyfus i gruźlicę. Zostali pochowani na cmentarzu w Neuburxdorf, gdzie znajduje się pomnik i muzeum jenieckie. Po wyzwoleniu stalagu 23.04.1945 r. przez Armię Radziecką obóz był nadal wykorzystywany. Przechowywani tam byli, ironia losu, jeńcy niemieccy\*.

Ojciec trafił do obozu pod koniec października 1939 r. Wówczas jeszcze więźniowie spali pod gołym niebem. Nocny chłód dawał się wszystkim we znaki. Temperatuury spadały do zera, a głód potęgował uczucie zimna. Pod koniec grudnia zostali zakwaterowani w ogromnych namiotach, które mieściły do tysiąca jeńców każdy. Namiot nie gwarantował żadnej ochrony przed zimnem. Za posłanie służył ojcu koc kawaleryjski, rzucony luzem na ziemi. Przykryciem był z płaszcz wojskowy niszczone zarówno w bojach, jak i podczas tułaczki. Po 2–3 godzinach snu wszyscy jeńcy wstawali, aby się rozgrzać. Rozgrzewka ta polegała na chodzeniu wokół prowizorycznego posłania przez godzinę lub dwie, aż do momentu, gdy krew zaczęła normalnie krążyć. Te nocne marsze powodowały, że z lekko podmokłej ziemi robiło się bagno sięgające powyżej kostek. Najgorszą sytuację mieli żołnierze piechoty, których buty nie chroniły przed szlamem wlewającym się do środka. Ułani mieli wysokie, sięgające do kolana buty kawaleryjskie, umożliwiające im poruszanie się w błocie i przynajmniej częściowo chroniące przez wszechobecną wilgocią.

---

\* Wikipedia – hasło „Stalag IV B”; [https://pl.wikipedia.org/wiki/Stalag\\_IV\\_B](https://pl.wikipedia.org/wiki/Stalag_IV_B).

Wyżywienie nie spełniało żadnych norm. Raz dziennie wydawana była menażka zupy z brukwi i kromka chleba oraz kubek kawy – rzekomo zbożowej, choć ojciec opowiadał, że smakowała jak zwykła lura. Ze względu na tak skąpe wyżywienie część jeńców szukała pożywienia przy śmietnikach w pobliżu kuchni, zjadając resztki podgniętego jedzenia. Na efekty takiego uzupełniania żywności nie trzeba było długo czekać. Już po kilku godzinach od takiego „posiłku” pojawiała się biegunka, sygnalizująca początki jednych z najcięższych chorób zakaźnych – czerwienki i duru brzuszego. Choroby te zbierały smutne żniwo – z namiotu ojca codziennie wywożono od dwudziestu do pięćdziesięciu martwych jeńców.

Nie przestrzegano zasad humanitarnego traktowania osadzonych. Codziennosc przesiąknięta była zwątpieniem, rezygnacją i beznadziejnością. Trudy pobytu w obozie potęgowało drobne robactwo, a szczególnie wszy, które można było zbierać garściami. Były największą zimą obozowego życia, a zarazem roznośicielami chorób zakaźnych.



Dane mapy ©2025 GeoBasis-DE/BKG (©2009),Google 10 km

Miejscowość Mühlberg, w której znajdował się Sterlag IVB (źródło Google Maps).